



Napis na grafice: W NASZYM KOŁCHOZIE NIE MA MIEJSCA
DLA KSIĘŻY I KUŁAKÓW

Zasada VI

PORZUĆ IDEOLOGIE

NIEWŁAŚCIWE MIEJSCA

PO OPUBLIKOWANIU MOJEJ OSTATNIEJ KSIĄŻKI, wraz z żoną Tammy odbyliśmy serię spotkań autorskich w wielu anglojęzycznych krajach, odwiedzając różne rejony świata oraz sporą część Europy, głównie północnej. Większość auli, w których miałem okazję przemawiać, była naprawdę wielkoma i niezwykle okazała. Samo przebywanie w budynkach o tak bogatej architekturze i historii; w gmachach, w których tak wiele uwielbianych przez nas zespołów zagrało niezapomniane koncerty i gdzie inni wybitni artyści przeżywali swoje wielkie chwile, sprawiało nam ogromną radość. Zarezerwowaliśmy łącznie 160 takich sal – zazwyczaj zdolnych pomieścić od 2500 do 3000 słuchaczy (choć wśród nich zdarzały się także mniejsze audytoria w Europie oraz większe w Australii). Byłem – i jestem – do głębi poruszony faktem, że moje wykłady wzbudziły zainteresowanie tak licznych odbiorców oraz że pojawiali się oni w zasadzie wszędzie na świecie. Takim samym zdumieniem napawa mnie również popularność, jaką cieszą się moje wystąpienia publikowane w serwisie YouTube oraz w rozmaitych podcastach – czy to na moich własnych kanałach, czy w ramach gościnnych występów u innych twórców – a także popularność niezliczonych krótkich klipów, które użytkownicy internetu sami zmontowali, wycinając fragmenty z dłuższych wywiadów i rozmów z różnymi dziennikarzami. W sumie obejrzano je i odsłuchano setki milionów razy. Wreszcie, jest także wspomniana już moja poprzednia książka, której sprzedaż, w momencie publikacji niniejszego tomu, wyniesie około czterech milionów egzemplarzy w języku angielskim, i która – jeśli nie nastąpią nieoczekiwane zmiany – doczeka się przekładów na pięćdziesiąt kolejnych języków. Naprawdę, sam nie wiem, co myśleć o tym, że udało mi się zjednać sobie tak liczne grono odbiorców.

O co chodzi? Co tak naprawdę się dzieje? Każdy człowiek przy zdrowych zmysłach byłby tym wszystkim zaskoczony – delikatnie mówiąc. Najwyraźniej to, o czym mówię i piszę dotyka czegoś istotnego, a czego brakuje dziś w życiu wielu ludzi. Oczywiście, jak już wiele razy wspominałem, przekaz, który oferuję, opiera się w dużej mierze na ideach wybitnych psychologów oraz innych myślicieli i wydaje mi się, że w tym właśnie tkwi sedno sprawy. Ale sam również nieustannie zastanawiam się nad tym, jaki jeszcze konkretny czynnik (jeśli takowy w ogóle istnieje) mógłby rzucić nieco więcej światła na to, co sprawia, że moje słowa przyciągają uwagę widzów, słuchaczy oraz czytelników na całym świecie i w próbach ustalenia tego polegam przede wszystkim na dwóch źródłach informacji. Pierwszym z nich są bezpośrednie reakcje osób spotykanych zaraz po wykładach lub przypadkiem – na ulicach i lotniskach, w kawiarniach czy w innych miejscach publicznych.

W jednym z miast położonych w środkowo-zachodniej części Stanów Zjednoczonych (jeśli mnie pamięć nie myli, mogło to być Louisville), pewien młody człowiek zagadnął mnie tuż po wygłoszonym przeze mnie wykładzie następującymi słowami: „Krótka historia. Dwa lata temu wyszedłem z więzienia. Byłem bezdomny i kompletnie splukany. Wtedy zacząłem słuchać pańskich wykładów. Dziś pracuję na pełen etat, mam własne mieszkanie oraz żonę, która właśnie urodziła nasze pierwsze dziecko – córeczkę. Dziękuję panu”. Słowu „dziękuję” towarzyszyło spojrzenie prosto w oczy i solidny uścisk dłoni, zaś cała krótka relacja wypowiedziana została głosem pełnym zdecydowania. Podobne historie opowiadają mi ludzie spotkani na ulicy, nierzadko ze łzami w oczach (choć sytuacja, którą przytoczyłem powyżej, ma wydźwięk znacznie mocniejszy niż zazwyczaj). Ludzie ci dzielą się ze mną niekiedy bardzo osobistymi, dobrymi wieściami (z rodzaju takich, jakie powierzamy wyłącznie najbliższemu, zaufanemu osobom). Czuję się niezmiernie zaszczycony, mogąc się do nich zaliczać, choć muszę przyznać, że rola odbiorcy setek takich osobistych wyznań jest niezwykle wyczerpująca emocjonalnie, pomimo faktu (a może właśnie z uwagi na ten fakt), iż są to wyznania tak pozytywne. Serce mi pęka na widok tego, jak niewiele zachęty i pożytecznych wskazówek wielu ludzi otrzymało w swoim życiu oraz jaki ogrom dobra może zaistnieć, gdy otrzymają ich choćby odrobinę więcej. Na początek wystarczą proste słowa: „Wiedziałem, że dasz radę”. Coś tak prostego może pomóc złagodzić część niepotrzebnego cierpienia na świecie.

Jest to zatem jedna z form historii, jakim przysłuchuję się regularnie w wielu wariantach. Oprócz tego, kiedy spotykam się osobiście z wieloma

osobami, często dowiaduję się, że podobają im się moje wykłady i książki, ponieważ w tym, co mówię i piszę, znajdują oni słowa umożliwiające im wyrażenie tego, co sami już wiedzą lub przeczuwają, a czego nie potrafią wyartykułować. A przecież każdemu przydaje się umiejętność przekazywania w formie jawnej czegoś, co rozumie na poziomie niejawnym. Ponieważ często dręczą mnie wątpliwości co do roli, jaką przyszło mi odgrywać, sam fakt, że tak wielu ludzi uznaje to, co mam do przekazania, za zgodne z ich głębokimi, lecz wcześniej nieuświadomionymi i niewypowiedzianymi przekonaniami, jest, nie ukrywam, krzepiący i pomaga mi utrzymać wiarę w trafność czy też słuszność treści, które sam posiadałem i przemyślałem oraz którymi od kilku lat tak otwarcie się dzielę. Wydaje mi się, że pomaganie ludziom w wyartykułowaniu tego, czego się intuicyjnie domyślają, a czego nie potrafią wyrazić, jest sensownym i pożytecznym zadaniem dla publicznego intelektualisty.

Jest jeszcze jedno źródło informacji, które pozwala mi lepiej zrozumieć moje osiągnięcia (czymkolwiek by one nie były). Chodzi o moje wykłady na żywo, do których wygłaszania miałem ostatnimi czasy tak wiele okazji. To ogromny przywilej i dar móc regularnie przemawiać do licznej widowni. Dzięki temu mam możliwość bezpośredniego rozpoznania, czy może lepiej wyczucia, tak zwanego *Zeitgeistu* – ducha czasów – oraz szansę na natychmiastowe testowanie nowo sformułowanych idei pod kątem ich zrozumiałości i siły przyciągania uwagi (a zatem, krótko mówiąc, oceniając ich jakość, przynajmniej częściowo). Oceny tej dokonuję, przyglądając się uważnie reakcjom publiczności na moje słowa.

W mojej poprzedniej książce *12 życiowych zasad*, w Zasadzie 9. zatytułowanej: „Zakładaj, że twój rozmówca może wiedzieć coś, czego ty nie wiesz”, radzę, by nawet podczas przemawiania do dużej grupy ludzi kierować swoją uwagę na konkretne osoby – tłum jest niejako złudzeniem. Co więcej, można też spróbować rozszerzyć uwagę wzrokową skupioną na poszczególnych jednostkach o jednoczesne nasłuchiwanie tego, co dzieje się w całej grupie: różnych szelestów, pokasywania, podśmiewania i wszystkiego, czym ludzie zazwyczaj się zajmują, podczas gdy ty koncentrujesz wzrok na pojedynczych słuchaczach czy słuchaczkach. U konkretnej osoby, do której się zwracasz, tym, co chcesz dostrzec, jest skupienie i szczere zainteresowanie. Natomiast tym, co chcesz usłyszeć od tłumy, jest absolutna cisza. Nie chcesz słyszeć dosłownie *niczego*. Osiągnięcie takiego stanu oznacza, że uwaga twoich słuchaczy nie jest rozpraszana przez wszystko to, co mogłoby im przyjść do głowy w trakcie obecności na audytorium. Na pewno nieraz sam zauważyłeś, jak będąc częścią

publiczności w czasie wystąpienia, którego przebieg jakoś szczególnie cię nie oczarowywał, każdy, choćby najdrobniejszy fizyczny dyskomfort, wprawiał cię w irytację, a czas upływał ci na niecierpliwym wierceniu się. Zwracałeś też uwagę na myśli pojawiające się w twojej głowie, na przykład zastanawiając się, co masz do zrobienia jutro, albo szeptałeś coś do osoby siedzącej obok. To wszystko zwiększa niezadowolenie widowni oraz wzmacnia ogólny poziom hałasu. Jeśli natomiast sam będąc mówcą dobrze odnajdujesz się na scenie – zarówno w sensie fizycznym, jak i duchowym – wówczas uwaga wszystkich uczestników zogniskowana będzie na twoim przekazie i nikt nie wyda z siebie choćby najcichszego dźwięku. Takim oto sposobem można zweryfikować, które idee mają moc.

Obserwując i przysłuchując się publiczności podczas moich występów w opisany powyżej sposób, zacząłem coraz wyraźniej dostrzegać, że szczególnie kiedy poruszałem jedno, konkretne zagadnienie, na widowni zapadała martwa cisza (i wspominam o tym bez przesady – działo się tak za każdym razem, bez wyjątku). Mowa o temacie odpowiedzialności, który stanowi centralny punkt Zasady IV tej książki („Zauważ, że szansa pojawia się tam, gdzie zręczono się odpowiedzialności”). Te reakcje były doprawdy fascynujące i jak dla mnie dosyć niespodziewane. Odpowiedzialność trudno bowiem uznać za gorący towar, który łatwo sprzedać. Od niepamiętnych czasów rodzice robią, co tylko mogą, by nauczyć swoje dzieci odpowiedzialności. To samo próbuje nam wpoić społeczeństwo, posiłkując się instytucjami oświatowymi, praktykami zawodowymi, organizacjami charytatywnymi oraz wszelkiej maści stowarzyszeniami. Można by wręcz uznać, że krzewienie odpowiedzialności to fundamentalny cel społeczeństwa. Niestety, coś poszło nie tak. Popelniliśmy błąd, a nawet serię błędów. Dla przykładu, mniej więcej od pięćdziesięciu lat zdecydowanie za dużo uwagi poświęcamy prawom i przywilejom, jednocześnie znacząco obniżając oczekiwania względem młodych ludzi, których staramy się przygotować do funkcjonowania w społeczeństwie. Od dziesięcioleci nakłaniamy ich, aby domagali się tego, co im się rzekomo słusznie należy od społeczeństwa. Sugerujemy tym samym, że spełnienie tych żądań obdaruje ich jednocześnie poczuciem sensu życia, podczas gdy powinniśmy dawać im do zrozumienia coś zgoła odwrotnego: że poczucie sensu podtrzymującego życie – życie nieuchronnie naznaczone tragediami i rozczarowaniem – można znaleźć dźwigając szlachetne brzemie. A ponieważ zawiedliśmy w tym względzie na całej linii, ostatnie pokolenia młodych ludzi dorastały, szukając tegoż sensu w niewłaściwych miejscach. W rezultacie stali się podatni na łatwe

odpowiedzi oraz urażanie się, co pozwala im rozładować frustrację. Cóż takiego w toku dziejów spowodowało, że znaleźliśmy się w takim położeniu? Jak doszło do wytworzenia tej zgubnej podatności?

BYĆ MOŻE ON PO PROSTU ŚPI

POD KONIEC XIX WIEKU niemiecki filozof Friedrich Nietzsche wygłosił swoją słynną maksymę: „Bóg umarł”. Hasło to stało się tak popularne, że można je nawet czasem znaleźć nagryzmolone na ścianach publicznych toalet, gdzie często pojawia się w nieco zmodyfikowanej formie: „»Bóg umarł« – Nietzsche. »Nietzsche umarł« – Bóg”. Tymczasem zamiarem Nietzschego nie było, aby słowa te zyskały narcystyczny czy triumfalny wydźwięk. Pogląd wielkiego myśliciela wynikał z obawy o to, że judeochrześcijańskie wartości stanowiące podstawę cywilizacji zachodniej stały się obiektem niebezpiecznej, lekceważącej, racjonalnej krytyki oraz o to, że najważniejszy aksjomat, fundament, na którym zostały one oparte – istnienie transcendentnego, wszechmogącego bóstwa – został bardzo poważnie podważony. Przypatrując się tym procesom, Nietzsche skonkludował, że świat, jaki znamy, rozpadnie się wkrótce skutkiem katastrofy – zarówno w sensie psychologicznym, jak i społecznym.

Nie trzeba być wybitnie uważnym czytelnikiem, by dostrzec, że w książce *Radosna wiedza* Nietzsche określił Boga jako „największą moc i świętość, jaką świat dotąd posiadał”, zaś współczesnych ludzi jako „morderców nad mordercami”¹. Trudno uznać to za opis, jaki można by usłyszeć z ust kipiącego poczuciem triumfu racjonalisty, celebrującego schyłek przesądu. W rzeczy samej, w tych słowach Nietzsche dawał raczej wyraz absolutnej desperacji. W innych swoich pracach, zwłaszcza w *Woli mocy*, opisywał, co wydarzy się w nadchodzącym stuleciu oraz później, w następstwie tego morderczego czynu². Prorokował (i jest to jak najbardziej właściwe słowo), że będzie on miał dwie zasadnicze konsekwencje – pozornie sobie przeciwstawne, a w rzeczywistości nierozzerwalnie i przyczynowo ze sobą powiązane – obie wiążące się ze śmiercią, oraz z nadejściem kresu tradycyjnych rytuałów, opowieści i wierzeń.

¹ F. Nietzsche, *Radosna wiedza*, Gdańsk, Wydawnictwo Słowo/Obraz Terytoria, 2008, s. 138.

² *Idem*, *Wola mocy*, Kraków, Wydawnictwo vis-à-vis/Etiuda, 2009.

Według Nietzschego, ponieważ sens ludzkiego życia stopniowo stał się wątpliwy – na skutek porzucenia monoteistycznej myśli i tym samym wypełnionego znaczeniem świata, który ta struktura oferuje – ludzkość doświadczy niszczącego na polu egzystencjalnym rozpowszechnienia nihilizmu. Drugą stroną medalu, argumentował niemiecki filozof, będzie sytuacja, w której ludzie zaczną identyfikować się ze sztywnymi, totalitarnymi ideologiami: to jest pokładać wiarę w myśl ludzką, będącą substytutem idei transcendentnego Ojca Wszelkiego Stworzenia. Zwątpienie, które osłabia, oraz pewność, która miazdzy – oto nietzscheańska przepowiednia dotycząca dwóch alternatyw, jakie pojawiają się wraz ze śmiercią Boga.

Fiodor Dostojewski, równie wyjątkowy w swym myśleniu rosyjski powieściopisarz, podjął tę samą kwestię co Nietzsche – mniej więcej w tym samym czasie – a swoje przemyślenia zawarł między innymi w mistrzowskim dziele *Biesy*³. Główny bohater powieści, Nikołaj Wsiewołodowicz Stawrogin, choć jako postać literacka żyje kilka dziesięcioleci przed wybuchem politycznego chaosu, w wyniku którego carska Rosja przekształciła się w Związek Radziecki, wyznaje dokładnie takie same ideały jak te, które ostatecznie dały początek rewolucyjnemu komunizmowi. Dostojewski nie uznawał popularyzacji tych ideałów za tendencję pozytywną. Zdawał sobie sprawę, że przyjęcie sztywnej, kompleksowej, utopijnej ideologii, opartej na kilku pozornie oczywistych aksjomatach, niosło ze sobą polityczne i duchowe niebezpieczeństwo, pod względem brutalności potencjalnie mogące przyćmić wszelkie okrucieństwa, jakich dokonywano wcześniej – w religijnej, monarchicznej, a nawet pogańskiej przeszłości. Podobnie jak Nietzsche, Dostojewski przewidział nadejście krwawych czasów niemal pięćdziesiąt lat (!) przed wybuchem leninowskiej rewolucji w Rosji. Ten niepojęty wręcz poziom zdolności profetycznych może do dziś służyć za dobitny przykład tego, w jaki sposób artysta i jego wgląd rzucają światło na przyszłość, na długo przed tym, zanim będą ją w stanie dostrzec wszyscy pozostali.

Zarówno Nietzsche, jak i Dostojewski przewidzieli, że komunizm okaże się przerażająco atrakcyjny – jako pozornie racjonalna, spójna i moralna alternatywa dla religii czy nihilizmu – oraz że jego konsekwencje okażą się tragiczne. Ten pierwszy z myślicieli napisał zresztą następująco, w swoim niepowtarzalnie ostrym, ironicznym, genialnym stylu: „Zaiste pragnąłbym sobie życzyć, żeby kilka wielkich eksperymentów dowiodło, iż w socjalistycznym społeczeństwie życie samo sobie zaprzecza, podcina

³ F. Dostojewski, *Biesy*, Kraków, Znak, 2010.

swoje korzenie. Ziemia jest wystarczająco duża, a człowiek jeszcze do cna niewycieńczony; stąd też taka praktyczna porada i *demonstratio ad absurdum* [ukazanie czegoś drogą sprzeczności – przyp. tłum.] nie wydałyby mi się niepożądane, nawet za cenę utraty ogromnej liczby istnień ludzkich”⁴. Nietzsche nie miał tutaj na myśli socjalizmu w jego łagodnej odmianie, popularnej w późniejszych latach w Wielkiej Brytanii, krajach skandynawskich i Kanadzie; w odmianie, w której niekiedy dało się zauważyć autentyczną troskę o poprawę losu klasy pracującej. Opisywał raczej doprowadzony do ekstremum kolektywizm, jaki rozwinął się na przykład w Rosji, Chinach i w wielu mniejszych krajach. O tym, czy naprawdę wyciągnęliśmy wnioski z tej trudnej lekcji – z tej „praktycznej demonstracji”, tego obnażenia absurdalności doktryny socjalizmu – lekcji okupionej przewidzianą przez Nietzschego „utratą ogromnej liczby istnień ludzkich”, dopiero przyjdzie nam się przekonać.

Wydaje się, że Nietzsche całkowicie zaakceptował ideę, według której świat jest zarówno obiektywny, jak i pozbawiony wartości – zgodnie z założeniami wnoszonymi przez rodzące się wówczas nauki przyrodnicze. Przyjęcie takiego światopoglądu pozwoliło mu zrozumieć, że istnieje tylko jeden możliwy sposób ucieczki od nihilizmu i totalitaryzmu. Doszedł do wniosku, że tylko wtedy uda się uniknąć obu pułapek, gdy pojawią się jednostki wystarczająco silne, by móc tworzyć własne wartości, rzutować je na neutralną pod tym względem rzeczywistość, a następnie postępować zgodnie z nimi. Postulował, że w następstwie śmierci Boga będzie się musiał wykształcić nowy rodzaj człowieka – tak zwany *Übermensch* (nadczłowiek) – gdyż w przeciwnym wypadku dziejowe prądy popchną ludzkość w przeciwnym kierunku – na zdradzieckie mielizny rozpacz lub na najeżony minami teren przesadnie ustrukturyzowanych i fałszywie naukowych teorii politycznych. Jednostki, które zdecydują się podążać tą drogą – alternatywą dla nihilizmu i totalitaryzmu – będą zatem musiały stworzyć własną kosmologię wartości.

Jednakże słynni psychoanalitycy, Freud i Jung, przekreślili te nadzieje, wykazując, że jako ludzie nie mamy sami nad sobą dostatecznej kontroli, by tworzyć własne wartości drogą świadomego wyboru. Ponadto istnieje niewiele dowodów na to, że jakikolwiek człowiek obdarzony jest geniuszem pozwalającym kreować samego siebie *ex nihilo* – czyli

⁴ F. Nietzsche, *The Will to Power: An Attempted Transvaluation of All Values*, tom 14 z serii *The Complete Works of Friedrich Nietzsche*, red. Oscar Levy, London, T. N. Foulis, 1914, s. 102–103.

z niczego – szczególnie jeśli uwzględni się skrajne ograniczenia w naszym doświadczeniu, tendencyjność naszej percepcji oraz względnie krótki okres ludzkiego życia. Posiadamy określoną naturę – lub też, aż nazbyt często, to ona posiada nas – i przy obecnym stanie wiedzy jedynie głupiec ośmieliłby się twierdzić, że mamy dostateczną władzę nad samymi sobą oraz moc pozwalającą nam tworzyć, a nie tylko odkrywać, co tak naprawdę jest dla nas ważne. Owszem, posiadamy pewną zdolność do przeżywania spontanicznych, odkrywczych doświadczeń – artystycznych, twórczych i religijnych. Stale dowiadujemy się o sobie czegoś nowego – czasem ku własnej radości, a niekiedy ku własnemu przerażeniu, ponieważ tak często całkowicie opanowują nas nasze emocje i motywacje. Zmagamy się z naszą naturą. Staramy się z nią negocjować. Jednak wcale nie jest oczywiste, że jednostka kiedykolwiek zdoła powoływać do życia nowe wartości, czego tak żarliwie pragnął Nietzsche.

To zresztą nie jedyny problem pojawiający się w argumentacji Nietzschego. Gdyby bowiem każdy z nas żył według indywidualnych, wytworzonych przez siebie wartości, czy pozostałoby coś, co mogłoby jednoczyć nas wszystkich? To problem natury filozoficznej o zasadniczym znaczeniu. Jak społeczeństwo złożone z nietzscheańskich nadludzi miałoby uniknąć funkcjonowania w stanie nieustannego konfliktu, skoro wartości wyznawane przez jego poszczególnych członków byłyby pozbawione wspólnego mianownika? I wreszcie – nie ma żadnych przesłanek potwierdzających, że choćby jeden taki nadczłowiek kiedykolwiek się narodził. Tymczasem, na przestrzeni prawie dwóch minionych stuleci – to jest w okresie naznaczonym pogłębiającym się kryzysem sensu życia oraz powstawaniem państw totalitarnych takich jak nazistowskie Niemcy, ZSRR czy komunistyczne Chiny – można było odnieść słuszne wrażenie, że zgodnie z obawami Nietzschego i Dostojewskiego znaleźliśmy się właśnie pomiędzy młotem nihilizmu a kowadłem ideologicznego opętania, czemu, zgodnie z przepowiedniami obu tych wielkich myślicieli, towarzyszą dokładnie te same katastrofalne socjologiczne i psychologiczne konsekwencje, o jakich wspominali.

Nie możemy też z góry założyć, pomimo niezaprzeczalnej użyteczności metody naukowej i głoszonych przez nią postulatów, że wartość (choć sama w sobie wydaje się nam subiektywna) nie stanowi integralnej części rzeczywistości. Podstawowy aksjomat nauki pozostawiony nam w spadku przez czołowe umysły oświecenia – pogląd, według którego rzeczywistość to domena rzeczy obiektywnych – stanowi śmiertelne wyzwanie chociażby dla rzeczywistości doświadczenia religijnego, jeśli

charakter tegoż uznamy za zasadniczo subiektywny (a dokładnie takim się zdaje). Jest jednak coś, co komplikuje całą tę sytuację, a co spoczywa niejako pomiędzy subiektywnym a obiektywnym: a co, jeśli istnieją doświadczenia zazwyczaj przeżywane indywidualnie, które jednak wydają się tworzyć znaczący wzór, kiedy są rozpatrywane z punktu widzenia społecznej zbiorowości? Oznaczałoby to, że zaszło coś, co niekoniecznie daje się określić mianem zjawiska subiektywnego, mimo iż równocześnie nie daje się to uchwycić w ramy metody naukowej. Być może zamiast tego należałoby uznać, że wartość danego przeżycia jest na tyle idiosynkratyczna – i tak bardzo zależna od szczególnych uwarunkowań czasu, miejsca oraz jednostki doświadczającej tego przeżycia – iż niemożliwe jest ani jego uchwycenie, ani późniejsze odtworzenie w sposób, który pozwoliłby uznać owo przeżycie za obiekt badań w rozumieniu naukowym. Przy czym nie oznacza to wcale, że wartość ta nie jest *rzeczywista*: pokazuje to jedynie, że jest ona czymś tak złożonym, że na ten moment nie daje się łatwo wpisać (i być może nigdy nie będzie to możliwe) w sztywne ramy naukowego światopoglądu. Świat to bardzo dziwne miejsce i zdarzają się sytuacje, kiedy metaforyczny lub narracyjny opis, charakterystyczny dla kultury, oraz ujęcie materialne, właściwe nauce, wydają się ze sobą stykać; są to chwile, w których wszystko się ze sobą łączy – a życie i sztuka odpowiednio się odzwierciedlają.

Psyche – dusza – która wytwarza takie doświadczenia lub jest ich odbiorcą, jawi się jako niezaprzeczalnie prawdziwa: dowodem jest chociażby to, jak działamy. Wszyscy aksjomatycznie zakładamy realność naszego istnienia i świadomych przeżyć, jednocześnie w naszych założeniach obdarzając tym samym przywilejem wszystkich innych (jeśli ktoś zakłada inaczej, może od życia mocno oberwać). Zupełnie rozsądnie można więc zasugerować, że takie istnienie i doświadczenia mają głęboko zakorzoną, biologiczną oraz fizyczną strukturę. Pod takim poglądem niewątpliwie podpisują się osoby, którym bliskie jest podejście psychoanalityczne oraz wiele osób zgłębiających tajniki psychobiologii, a w szczególności ci, którzy skupiają się na motywacji i emocjach⁵. Wydaje się, że pewne podstawowe funkcje tej struktury, której istnienie uznawane jest za coś oczywistego zarówno przez naukowców, jak i ogólnie całą populację, przejawia się w doświadczeniach o charakterze religijnym. I ta religijna funkcja dochodzi do głosu u wszystkich ludzi w sposób na tyle zbliżony, że wszyscy na pewnym poziomie rozumiemy, co w ogóle oznacza „doświadczenie

⁵ Zobacz J. Panksepp, *op. cit.*, *passim*.

o charakterze religijnym” – szczególnie jeśli w jakimś momencie życia mieliśmy okazję go posmakować.

Co to za sobą pociąga? Być może zrozumienie, że odkrycie prawdziwego sensu życia leży w naszym zasięgu (o ile jest to w ogóle możliwe do osiągnięcia z poziomu jednostki, odosobnionej – choć pozostającej w komunikacji z innymi ludźmi, z przeszłości i teraźniejszości). A zatem, być może prawdziwy sens życia nie leży w domenie zjawisk obiektywnych, ale w tym, co subiektywne (lecz wciąż uniwersalne). Poniekąd dowodzi tego istnienie sumienia, jak również fakt, że religijne doświadczenia można niezawodnie wywołać drogą interwencji chemicznej oraz poprzez praktyki takie jak taniec, śpiew, post czy medytacja. To, że idee religijne mają siłę jednoczenia ogromnych rzesz ludzi w ramach jednego systemu moralnych przekonań (choć oczywiście potrafią one również wywoływać podziały nawet w obrębie jednej grupy), także wskazuje na ten uniwersalny głos odzywający się w naszym wnętrzu. Dlaczego więc z taką łatwością zakładamy, że nie ma w tym zjawisku niczego realnego, pomimo jego ewidentnej powszechności i nieodzowności oraz pomimo tego, iż jesteśmy nieomal pewni, że nasza zdolność do wartościowania to prastara, wyewoluowana funkcja, jaką wykształciliśmy dzięki tej samej rzeczywistości, którą próbujemy zdefiniować i zrozumieć?

Mieliśmy już okazję doświadczyć konsekwencji totalitarnych rozwiązań, w ramach których to kolektyw miał być odpowiedzialny za dźwiganie życiowego brzemienia, wytyczanie właściwej ścieżki i pomyślne przekształcenie okrutnego świata w obiecaną utopię. Komuniści stworzyli światopogląd, który okazał się atrakcyjny zarówno dla ludzi sprawiedliwych i motywowanych dobrymi intencjami, jak i dla okrutnych zawistników. Być może komunizm mógłby w swoim czasie posłużyć jako skuteczne rozwiązanie problemów nierównej dystrybucji bogactwa charakteryzującej erę przemysłową, jeśli założyć, że wszyscy spośród hipotetycznie wyzyskiwanych okazaliby się dobrymi ludźmi, a z kolei całe zło skupione byłoby, jak przekonywali komunistyczni myśliciele, w klasie wyzyskiwaczy – a więc burżuazji. Na nieszczęście dla komunistów, znaczący odsetek uciśnionych stanowili ludzie o niskich zdolnościach, niewielkiej sumienności i inteligencji, za to rozwiązłych, nad wyraz żądnych władzy, brutalnych, zazdrosnych i pełnych urazy, natomiast wśród „wyzyskiwaczy” znaleźć można było głównie ludzi wykształconych, zdolnych, twórczych, inteligentnych, uczciwych i pełnych troski. Gdy szaleństwo rozkułaczania niczym fala przetoczyło się przez nowo utworzony Związek Radziecki, to właśnie mściwi, zawistni mordercy redystrybuowali własność, którą

odbierali w większości przypadków znającym się na rzeczy, kompetentnym, godnym zaufania gospodarzom. Jedną z niezamierzonych konsekwencji tej dokonanej w latach 30. XX wieku „redystrybucji szczęścia” była śmierć głodowa sześciu milionów Ukraińców – ludzi zamieszkujących ziemie należące do najbardziej urodzajnych na świecie.

Oczywiście, inni złoczyńcy i przodownicy w kategorii „okrucieństwa XX wieku” – niemieccy narodowi socjaliści – również byli potężnymi i niebezpiecznymi ideologami. Sugeruje się czasem, że akolici Hitlera czerpali inspirację z filozofii Nietzschego. W twierdzeniu tym można w jakiś przewrotny sposób doszukać się ziarna prawdy, ale tylko jeśli usilnie chce się je znaleźć – naziści niewątpliwie próbowali stworzyć swoje własne wartości, jednakże w inny sposób, niż w założeniu mieli to robić „nadludzie”, o jakich wspominał ich rodak i słynny filozof. Zdecydowanie bliższe prawdy jest stwierdzenie, że Nietzsche zwyczajnie rozpoznał kulturowe i historyczne uwarunkowania, które sprawiły, że powstanie idei pokrewnych tym, jakie propagowali naziści, stało się niezwykle prawdopodobne. Starali się oni bowiem stworzyć postchrześcijańskiego, postreligijnego człowieka doskonałego – idealnego Aryjczyka i nie ulega wątpliwości, że sformułowali ten ideał w sposób sprzeczny z nakazami zarówno judaizmu, jak i chrześcijaństwa. W tym sensie idealny Aryjczyk mógł figurować w umysłach nazistów – i z pewnością tak właśnie był przez nich postrzegany – jako „nadczłowiek”. Nie oznacza to jednak, że ten nazistowski ideał wykazywał jakiegokolwiek podobieństwo do ideału nietzscheańskiego. Wręcz przeciwnie. Nietzsche był bowiem żarliwym zwolennikiem indywidualizmu, tak więc koncepcję, w ramach której nadczłowiek miałby być tworem państwa, uznałby nie tylko za absurdalną, ale też odrażającą.

ZGUBNY UROK FAŁSZYWEGO IDOLA

ZASTANÓWMY SIĘ NAD OSOBAMI, które co prawda nie posunęły się aż tak daleko, by utożsamić się ze zdyskredytowanymi ideologiami marksizmu-leninizmu lub nazizmu, ale które nadal hołdują wszelkim „izmom” popularnym w naszych czasach: socjalizmowi, feminizmowi (czy innym ideologiom opierającym się na tożsamości etnicznej lub płciowej), a także postmodernizmowi, konserwatyzmowi, ekologizmowi i tak dalej. Praktycznie rzecz biorąc, wszyscy ci ludzie są monoteistami lub ewentualnie politeistami wielbiącymi niewielką liczbę bożków. Bożkami tymi są aksjomaty i fundamentalne przekonania, których prawdziwości się nie udowadnia,

lecz akceptuje a priori, zanim jeszcze dany system przekonań będzie mógł zostać przyjęty jako własny. A kiedy tak się już stanie, gdy zaczynamy patrzeć na świat przez pryzmat owych bożków, powstaje przemożna iluzja, pozwalająca wierzyć, jakoby doszło do wytworzenia jakiejś cennej wiedzy.

Proces, za pomocą którego można stworzyć jakiś system z grupy „izmów”, jest prosty w początkowych etapach, ale na tyle pokrętny w zastosowaniu, by móc skutecznie naśladować (i zastępować) rzeczywiste, produktywne formowanie teorii. Ideolog zaczyna od wyselekcjonowania kilku abstrakcyjnych idei będących znacznymi uogólnieniami, skrywających w sobie ogromne, nieodróżniane obszary świata. Do takich uogólnień zaliczamy na przykład pojęcia: „gospodarka”, „naród”, „środownisko”, „patriarchat”, „dobro ogółu”, „bogaci”, „biedni”, „wyzyskiwani” czy „wyzyskiwacze”. Stosowanie takich wyizolowanych terminów pozwala w skryty sposób upraszczać zagadnienia, które w rzeczywistości obejmują nadzwyczaj złożone, skomplikowane zjawiska (ta ukryta złożoność po części stanowi powód, dla którego przytoczone terminy zawierają tak duży ładunek emocjonalny). Dla przykładu, istnieje wiele przyczyn ludzkiego ubóstwa. Jedną z nich, najbardziej oczywistą, jest brak pieniędzy – ale to właśnie ta rzekoma oczywistość stanowi jeden z głównych problemów związanych z ideologią. Brak możliwości zdobycia wykształcenia, rozbite rodziny, lokalna przestępczość, alkoholizm, narkotyki, kłopoty z prawem, korupcja (wraz z towarzyszącym jej politycznym i ekonomicznym wyzyskiem), choroby psychiczne, brak planu na życie (lub nawet niezdolność do uświadomienia sobie, że sformułowanie takiego planu jest nie tylko możliwe, ale wręcz konieczne), niski poziom sumienności, niefortunne położenie geograficzne, gwałtowna zmiana sytuacji ekonomicznej oraz następujący po niej zanik całych gałęzi gospodarki, tendencja rynku, w ramach której bogaci stają się jeszcze bogatsi, a biedni jeszcze biedniejsi, znikoma kreatywność, brak zainteresowania przedsiębiorczością, brak zachęty i wsparcia ze strony najbliższych – to tylko kilka przykładów z ogromnej puli czynników przekładających się na wzrost ubóstwa i nie jest w żadnym razie rzeczą oczywistą, że rozwiązanie zasadne dla każdego z nich (zakładając, że takowe w ogóle istnieje) miałyby być identyczne. Na tej samej zasadzie nie należy domniemywać, że za każdą z wymienionych oraz niewymienionych wyżej przyczyn ubóstwa czają się ci sami łajdacy (również zakładając, że takowi istnieją).

Wszystkie te problemy wymagają 1) starannej, szczegółowej analizy, 2) zaproponowania zestawu potencjalnych rozwiązań oraz 3) rygorystycznej oceny tychże rozwiązań celem upewnienia się, czy faktycznie

przynoszą oczekiwane rezultaty. Tymczasem w realnym świecie rzadko kiedy można zobaczyć, że jakikolwiek z poważnych problemów społecznych rozwiązywany jest za pomocą takiego metodycznego podejścia. Zresztą, nawet w przypadku rozwiązań wygenerowanych w ramach takiego metodycznego procesu nieczęsto zdarza się uzyskać oczekiwane rezultaty. Analiza tych problemów na tyle dokładna, by zrozumieć, co faktycznie je powoduje, oraz tworzenie i testowanie odpowiednich rozwiązań, stanowią olbrzymią trudność. Poprzeczka jest ustawiona dość wysoko, by powstrzymać nawet najodważniejszych przed stawieniem czoła realnym plagom, trapiącym ludzkość. Jako że ideolog może umieścić się po moralnej stronie równania bez podejmowania wysiłków koniecznych do uprawomocnienia swojej pozycji, o wiele łatwiej mu – i daje to znacznie większą osobistą satysfakcję – zredukować problem do czegoś prostego oraz znaleźć jakiegoś nikczemnika, któremu odtąd można się będzie moralnie przeciwstawiać.

Podzieliwszy świat na duże, jednolite obszary, opisawszy problemy charakterystyczne dla każdego z nich oraz wskazawszy odpowiednie czarne charaktery w swojej opowieści, twórca konkretnego „izmu” proponuje następnie niewielką liczbę objaśniających sił lub zasad (które faktycznie mogą w jakimś zakresie przyczynić się do zrozumienia istoty tych abstrakcyjnych obszarów). Następnie przyznaje owej nielicznej grupie sił czy zasad główną moc sprawczą, kompletnie ignorując przy tym inne, równie ważne, a nawet ważniejsze czynniki. Najlepiej sprawdza się w tym celu wykorzystanie jakiegoś większego systemu motywacyjnego czy też ogólnych socjologicznych faktów lub domniemań na szeroką skalę. Skutecznym posunięciem jest również wybranie tychże objaśniających sił lub zasad z powodu niewypowiedzianych, motywowanych urazą, destrukcyjnych pobudek, a następnie doprowadzenie do tego, że poddawanie ich pod dyskusję (głównie ich racji bytu) staje się tematem tabu dla ideologa i jego zwolenników (o krytykach nie wspominając). Na kolejnym etapie fałszywy teoretyk przedstawia swoją opracowaną post hoc teorię, wyjaśniającą, że w zasadzie każde zjawisko, bez względu na to, jak złożone, można rozważać jako konsekwencję drugiego rzędu tego nowego, totalizującego systemu. Na koniec wyłania się szkoła myśli propagująca metody tej algorytmicznej redukcji (szczególnie wtedy, gdy myśliciel ma nadzieję zdobyć przewagę zarówno w świecie pojęć, jak i w świecie rzeczywistym) zaś ci, którzy odmawiają zaakceptowania tegoż algorytmu lub sprzeciwiają się jego stosowaniu, są w jawny bądź niejawny sposób demonizowani.

Niekompetentni, skorumpowani intelektualisci wręcz karmią się tego typu gierkami. Pierwsi gracze biorący udział w danej grze tego rodzaju są

zwykle jej najbystrzejszymi uczestnikami. Snują opowieść wokół obranej przez siebie przyczynowej zasady, wykazując, jak duży jest wkład tej grupy przyjętych w ideologii sił i czynników – hipotetycznie podstawowej siły motywującej – w dowolnie wybraną domenę aktywności ludzkiej. Niekiedy bywa to nawet pomocne, ponieważ takie działanie może rzucić światło na to, w jaki sposób motywacja, o której dotychczas nie wypadało mówić czy w ogóle się nad nią zastanawiać (ponieważ stanowiła swoiste tabu), może wpływać na ludzką percepcję i zachowania, bardziej niż się powszechnie uważa i akceptuje (tak jak to miało na przykład miejsce z Freudem i jego naciskiem na eksplorowanie sfery seksualności). Zwolennicy takich intelektualistów, desperacko pragnący dołączyć do powstającej właśnie, potencjalnie możliwej do „zasiedlenia” hierarchii dominacyjnej (gdyż wszystkie istniejące już hierarchie wypchane są po brzegi obecnymi lokatorami), zakochują się w tej nowej opowieści. Pozostając pod jej urokiem, nowi wyznawcy, mniej bystrzy od swoich idoli, niezauważalnie dokonują subtelnej zmiany określeń na przykład z „przyczynili się” czy „mieli wpływ” na „spowodowali”. Również sami twórcy ideologii (jej pomysłodawca lub pomysłodawcy), uradowani pozyskaniem zwolenników, zaczynają kierować swoją narrację w tym kierunku. Albo sprzeciwiają się takim wypaczeniom. Nie ma to jednak większego znaczenia – kult zdążył już nabrać rozpędu.

Tego rodzaju teoretyzowanie jest szczególnie atrakcyjne dla ludzi bystrych, choć leniwych. Sprzyjają mu również cynizm i arogancja. Nowo pozyskani wyznawcy zostaną poinstruowani, że opanowanie tej gry i uzyskiwanie punktów w ideologicznej rozgrywce jest tożsame ze zdobywaniem wykształcenia. Zostaną też nauczeni krytykowania alternatywnych teorii, innych metod, a stopniowo nawet samej idei faktu. Jeżeli nowej teorii towarzyszy niezrozumiałe, skomplikowane słownictwo, tym lepiej dla niej – upłynie bowiem sporo czasu, zanim potencjalni oponenti zdolają rozszyfrować poszczególne argumenty. Należy też wspomnieć o konspiracyjnym aspekcie, który rychło przenika do szkoły, w której zachodzi taka „edukacja” i gdzie uległość jest w coraz większym stopniu jedyną dozwoloną postawą: nie krytykuj teorii – i nie wychodź przed szereg; nie rób niczego, co mogłoby się nie spodobać; uważaj, by nie dostać złej oceny lub by nie osądzono cię krytycznie za wyrażenie niepożądanego opinii (i nawet wtedy, gdy takie publiczne potępienie nie występuje w praktyce, sam strach przed nim może sprawiać, że wielu studentów i profesorów, pracowników i pracodawców tejże „szkoły” będzie dokonywać autocenzury).

Jak już to zauważyliśmy, Freud usiłował sprowadzić ogół czynników motywujących ludzkie działanie do pojedynczego impulsu – seksualności,

libido. Czegoś podobnego może z powodzeniem dokonać każdy, kto dysponuje niezbędnym do tego wykształceniem, inteligencją i elokwencją. Dzieje się tak dlatego, że „seksualność” (jak każdy wieloaspektowy acz wyrażany jednym słowem termin) daje się definiować zarówno bardzo wąsko, jak i bardzo szeroko – stosownie do potrzeb tych, którzy wykorzystują to pojęcie w celu tworzenia wyczerpujących, wszechstronnych wyjaśnień. Jednak, niezależnie od sposobu definiowania, seks to zjawisko biologiczne o żywotnym znaczeniu – klucz do całej, gęsto utkanej materii życia – stąd jego wpływ można autentycznie wykryć lub w przekonujący sposób uargumentować, biorąc pod lupę dowolne przedsięwzięcie czy obszar ludzkiej egzystencji, by następnie ten wpływ wyolbrzymić (jednocześnie umniejszając wagę innych istotnych czynników). Tak oto, w zależności od potrzeb, zasięg pojedynczej zasady użytej do argumentowania można poszerzać w nieskończoność.

Ten sam zabieg zastosował Karol Marks, opisując człowieka stricte z perspektywy teorii ekonomii i klas społecznych oraz przedstawiając historię jako odwieczne pole bitwy pomiędzy burżuazją a proletariatem. Stosując ten marksistowski algorytm, można wyjaśnić praktycznie wszystko. Bogaci są bogaci, ponieważ wyzyskują biednych. Biedni są biedni, ponieważ są wyzyskiwani przez bogatych. Wszelkie nierówności ekonomiczne są niepożądane i niekorzystne – stanowią bowiem rezultat fundamentalnej niesprawiedliwości i korupcji. Oczywiście, podobnie jak w przypadku teorii Freuda, również w obserwacjach Marksa można odnaleźć pewną wartość. Klasa to ważny element hierarchii społecznych, cechujący się zazwyczaj mniejszą lub większą stabilnością w czasie. Dobrobyt ekonomiczny – lub jego brak – to kolejna sprawa kluczowej wagi. A sam nieszczęsny fakt istnienia rozkładu Pareto⁶ – tendencji, w ramach której ci, którzy już mają dużo, z czasem zyskują jeszcze więcej (co wydaje się regułą obecną we wszystkich ustrojach gospodarczych) – rzeczywiście sprawia, że bogactwo jest akumulowane w rękach niewielkiego odsetka populacji. Co prawda, osoby należące do tej elitarnej grupy z upływem czasu podlegają znaczącej rotacji (pomimo wspomnianej stabilności klas

⁶ Bardzo ciekawą postać wspomnianej „zasady Pareto” zidentyfikował D.J. de Solla Price, który wykazał, że połowę pracy wykonuje – czy też, mówiąc inaczej, wytwarza połowę wartości – odsetek ludzi stanowiący pierwiastek kwadratowy z liczby wszystkich zaangażowanych w dane przedsięwzięcie. Swoje ustalenia Price opisał w książce *Mała nauka – wielka nauka*, Warszawa, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, 1967.

społecznych⁷, co jest w tym kontekście niezwykle istotne), niemniej sam fakt, że jednostki względnie zamożne zawsze stanowią mniejszość – a do tego bardzo nieliczną – wydaje się przygnębiająco niezmienny.

Jednak pomimo hipotetycznej szlachetności marksizmu, wdrażanie jego założeń kończyło się katastrofą wszędzie tam, gdzie dokonywano takich prób – na skutek czego późniejsi, nieskruszeni entuzjaści i niedoszli wyznawcy tej ideologii podejmowali i nadal podejmują rozmaite zabiegi mające na celu odzianie koncepcji Marksa w nowe szaty oraz dalsze ich promowanie, jak gdyby po drodze nie wydarzyło się nic złego. Ciesząc się powszechnym uznaniem we współczesnym środowisku akademickim myśliciele, pozostający pod ogromnym wpływem idei Marksa i w oparciu o nią kształtujący swoje poglądy (jak choćby Michel Foucault czy Jacques Derrida) zmodyfikowali marksistowskie uproszczenie, zasadniczo zastępując termin „ekonomia” słowem „władza”, jak gdyby to właśnie ogólnie pojęta władza była jedyną siłą motywującą wszelkie ludzkie zachowania (pomijając istnienie innych czynników, jak chociażby kompetentne przywództwo czy wzajemność postaw i działań).

Tego rodzaju ideologiczny redukcjonizm w ogóle jest cechą charakterystyczną myśli większości niebezpiecznych pseudointelektualistów. Ideolodzy to generalnie rzecz biorąc intelektualny ekwiwalent fundamentalistów – zartwardziały i nieugiętych. Ich przekonanie o własnej nieomyślności oraz przyznawanie sobie samym moralnego prawa do dokonywania manipulacji społecznych jest równie głębokie i niebezpieczne. Może to nawet przybrać o wiele groźniejszą postać – ideolodzy roszczą sobie bowiem również pretensje do samej racjonalności. Próbuje usprawiedliwiać swoje twierdzenia, za wszelką cenę dowodząc, że są one logicznie spójne i głęboko przemyślane. Fundamentalisci przynajmniej nie kryją swojego oddania czemuś, w co zwyczajnie wierzą, a co w sposób arbitralny uznali za słuszne bądź prawdziwe. Są pod tym względem zdecydowanie bardziej uczciwi. Ponadto fundamentalistów niejako ogranicza ich relacja z tym, co transcendentne, co wykracza poza ludzkie doświadczenie i pojmowanie. Oznacza to, według ich własnego credo, że Bóg – centrum ich moralnego uniwersum – pozostaje poza całkowitym zrozumieniem i wymyka się mu. Przyparci do muru ortodoksyjni Żydzi, dogmatyczni muzułmanie czy ultrakonserwatywni chrześcijanie muszą przyznać, że Bóg jest w gruncie rzeczy tajemnicą. Uznanie tego faktu zapewnia przynajmniej jakieś granice dla ich indywidualnych

⁷ T.A. Hirschel i M.R. Rank, *The Life Course Dynamics of Affluence*, „PLOS One” 10, nr 1, 2015: e0116370, doi: 10.1371/journal.pone.0116370. eCollection 2015.

roszczeń do monopolu na słuszość i władzę (autentyczny fundamentalista pozostaje bowiem podporządkowany Czemuś, czego w pełni nie może zrozumieć, o panowaniu nad tym nie wspominając). W przypadku ideologa sprawy mają się zgoła inaczej – ten gotów jest twierdzić, że wszystko rozumie i nad wszystkim panuje. Ideologiczna teoria tłumaczy wszystko: całą przeszłość, całą teraźniejszość i całą przyszłość. W rezultacie ideolog może uważać, że posiadał prawdę absolutną (przekonanie niedostępne dla konsekwentnie postępującego fundamentalisty, stosującego się do zasad swojego systemu). Nie istnieje pogląd bardziej totalitarny w swej istocie ani też sytuacja, w której najgorsze przejawy pychy miałyby większe prawdopodobieństwo dojścia do głosu (nie tylko zresztą pychy, ale także zakłamania przybywającego z odsieczą, kiedy ideologia okazuje się nieskuteczna w wyjaśnianiu świata i prognozowaniu przyszłości).

Jaki zatem płynie morał z tej opowieści? Wystrzegaj się intelektualistów, którzy ze swoich teorii motywacji czynią monoteistyczną wiarę. A wyrażając to bardziej technicznym językiem: stroń od wynajdywania zbyt ogólnych, jednoczynnikowych (a więc dających się sprowadzić do pojedynczej zmiennej) przyczyn proponowanych jako wystarczające wyjaśnienie dla różnorodnych, złożonych problemów. Owszem, władza ma istotny wpływ na bieg historii, podobnie jak ekonomia. Ale to samo można powiedzieć o zazdrości, miłości, głodzie, seksie, współpracy, złości, obrzydzeniu, smutku, niepokoju, religii, współczuciu, chorobach, technologii, nienawiści i przypadku – i żadnego z tych czynników nie da się w pełni sprowadzić do któregośkolwiek z pozostałych. Zrozumiała jest jednak skwapliwość, z jaką pragniemy to uczynić. Nie należy lekceważyć powabu prostoty oraz iluzji posiadania kontroli (które mogą mieć nadzwyczaj przydatne konsekwencje psychologiczne i społeczne, szczególnie na krótszą metę). Nie zapominajmy też o korzyściach, jakie daje odkrycie i wskazanie winowajcy lub grupy winowajców służących za kozła ofiarnego, na którym można się wyżyć, działając z ukrytych pobudek kryjących się pod powłóczką ideologii.

RESENTYMENT

O RESENTYMENTCIE⁸ – patologicznej formie silnej urazy – mówimy w sytuacji, gdy człowiek winą za osobiste porażki lub niezadowolającą pozycję

⁸ F. Nietzsche, *Z genealogii moralności*, Kraków, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, 2011, s. 30–34.

społeczną obarcza zarówno system, w jakim funkcjonuje, jak również (co najważniejsze) ludzi, którym udało się osiągnąć sukces i wysoki status w ramach tegoż systemu. System ów zostaje wówczas arbitralnie uznany za niesprawiedliwy, a ludzi, którzy świetnie sobie w nim radzą i odnoszą sukcesy, uważa się za skorumpowanych oportunistów. Jakże miałoby być inaczej? Jeśli system określimy jako zepsuty i nieuczciwy, można wyciągnąć logiczny wniosek, że ludzie dobrze się w nim odnajdujący muszą być nie tylko jego niezasłużonymi beneficjentami, ale również jego świadomymi, ochotniczymi, wyrachowanymi i niemoralnymi poplecznikami. Z chwilą, gdy taki przyczynowy ciąg myślowy zostanie zaakceptowany, wszelkie ataki na ludzi sukcesu można uznać za moralnie uzasadnione próby przywrócenia sprawiedliwości – a nie, powiedzmy, za przejawy zawiści i chciwości, tradycyjnie uznawane za niegodziwe.

Istnieje jeszcze inna, typowa cecha charakteryzująca krucjaty ideologiczne. Mianowicie jest nią przekonanie, że wspierane przez ideologów ofiary zawsze są niewinne (rzecz jasna w pewnych sytuacjach faktycznie tak się dzieje), zaś oskarżani są zawsze tymi złymi (w pewnym sensie prawdą jest, że nikczemników nigdy nie brakuje). Niemniej fakt istnienia rzeczywistych ofiar oraz słusznie wskazywanych sprawców nie powinien być wykorzystywany jako usprawiedliwienie dla wygłaszania ogólnikowych stwierdzeń, z których wynika, że świat jest jedną wielką areną zapełnioną niewinnymi ofiarami z jednej strony i powodowanymi złem zbrodniarzami z drugiej – w szczególności uogólnień, które za nic mają sobie zasadę domniemania niewinności. *Nie powinno się zakładać istnienia odpowiedzialności zbiorowej* – a już z pewnością nie takiej, która przekracza granice pokoleń⁹. To niepodważalna oznaka niegodziwych intencji oskarżycieli, a zarazem zwiastun katastrofy społecznej. Jednak, jeśli spojrzeć na to z perspektywy ideologa, postawa ta niesie pewne korzyści – ideolog może w zasadzie bez żadnych kosztów czy ryzyka postawić się w pozycji jednoczesnego wroga wyzyskiwaczy oraz obrońcy uciśnionych. Po co komu subtelne rozróżnienia, jakich wymaga ustalenie winy lub niewinności jednostki, kiedy tak wartościowa nagroda jest na wyciągnięcie ręki?

Obranie ścieżki resentymentu wiąże się z ryzykiem popadnięcia w skrajną zjadłość i rozgoryczenie. W niemałej części jest to konsekwencja szukania wroga na zewnątrz, nigdy zaś u siebie. Przykładowo, jeśli analizowanym

⁹ Dla przykładu, w ZSRR wyciągano śmiertelne konsekwencje wobec ludzi, których rodzice bądź dziadkowie zostali uznani za „wrogów klasowych” z powodu ich ponadprzeciętnie dobrej sytuacji majątkowej. Zobacz Aleksander Sołżenitsyn, *Archipelag GULag 1918–1956*, Poznań, Dom Wydawniczy REBIS, 2017.

zagadnieniem będzie standard życia i jeśli zamożność części populacji zostanie uznana za przyczynę ubóstwa oraz wszystkich pozostałych problemów nękających resztę społeczeństwa, wówczas ludzie bogaci staną się wrogami, których w pewnym głębokim sensie nie sposób odróżnić od samych sił zła – zdecydowanie demonicznych w znaczeniu psychologicznym i społecznym. Jeśli zaś jako problem zidentyfikuje się władzę, wówczas ci, którzy dysponują choćby najmniejszym jej zakresem, będą stanowić pojedyncze źródło wszelkiego cierpienia tego świata. Jeśli natomiast jako problem obierze się męskość, wówczas wszystkich mężczyzn (a nawet samą ideę mężczyzny) trzeba będzie zaatakować i mieszać z błotem¹⁰. Wizja, w ramach której dzielimy świat na diabła na zewnątrz i świętego wewnątrz, usprawiedliwia pyszałkowatą, pełną moralnej wyższości nienawiść – nienawiść pojawiającą się niejako z konieczności, jako logiczny produkt końcowy danego systemu ideologicznego. To tragiczna pułapka, ponieważ z chwilą, gdy zostanie rozpoznane źródło zła, prawy człowiek ma obowiązek je zwalczać i wyplenić. Trudno o lepsze zaproszenie dla paranoi i prześladowań. Natomiast świat, w którym tylko ty i ludzie myślący podobnie reprezentujecie dobro, to także świat, w którym wraz z osobami dzielącymi twój światopogląd jesteście otoczeni przez wrogów, zdeterminowanych, by was zniszczyć – wrogów, których należy wyeliminować.

Postawą dalece bezpieczniejszą z moralnego punktu widzenia jest szukanie źródła błędów tego świata w sobie samym – przynajmniej na tyle,

¹⁰ I nie myślimy, że w tę grę nie da się grać (oraz że to się już nie dzieje) w odwrotnym kierunku, gdzie za wroga obiera się kobiecość jako siłę, z którą należy walczyć lub którą należy deprecjonować. Niestety, w wielu regionach świata jako problem wskazuje się właśnie przejawy kobiecości: na przykład w języku arabskim słowo *awrah* oznacza intymne części ciała, które w myśl Koranu kobieta ma obowiązek zakrywać. Rdzeń tego słowa, *awr*, można tłumaczyć jako coś bliskiego „słabości”, „niedoskonałości” czy „ułomności”. Najczęściej spotykanym angielskim przekładem tego terminu jest „nagość”. Do innych tłumaczeń zaliczyć można „fałszywość”, „sztuczność” lub „ślepotę”. Według słownika stworzonego przez Mohammada Moina, cenionego irańskiego badacza literatury perskiej i irańskiej, *awrah* oznacza zarówno „nagość” lub „wstyd”, jak i „młodą kobietę”. W ramach zgodności z tą siecią współzależnych znaczeń, słowo *awrat*, wywodzące się od *awrah*, w wielu krajach należących do arabskiego kręgu kulturowego powszechnie używane jest jako określenie „kobiety”. To między innymi z tego powodu wyznawcy ultrakonserwatywnego, najbardziej ortodoksyjnego i purytańskiego, wahabickiego odłamu islamu przypisują kobietom dostateczną odpowiedzialność za zło i pokusy obecne na świecie, by usprawiedliwić tym samym drastyczne ograniczenie ich swobody poruszania się – do tego stopnia, że nie wolno im w żaden sposób przejawiać się w sferze publicznej.

na ile uczciwy i niecierpiący na rozmyślną ślepotę człowiek dokonujący obserwacji samego siebie będzie w stanie je dostrzec. Twój osąd w kwestii tego, co jest czym, kto jest kim oraz gdzie leży wina, stanie się znacznie trzeźwiejszy i jaśniejszy, jeśli najpierw spróbujesz dostrzec belkę we własnym oku, a dopiero później zwrócisz uwagę na drzazgę w oku swojego brata¹¹. Jest wielce prawdopodobne, że twoje własne niedoskonałości okażą się dość liczne i całkiem widoczne oraz że da się je z korzyścią skorygować – może to być pierwszy krok, jaki uczynisz na ścieżce Zbawiciela, w jego misji naprawy świata. Wzięcie na siebie grzechów świata – przyjęcie na siebie odpowiedzialności za fakt, że zarówno w twoim życiu, jak i w życiu innych wiele rzeczy wciąż nie zostało naprawionych lub nie doczekało się zadośćuczynienia – to element mesjanistycznego posłannictwa; etap podążania w ślad za wzorcowym bohaterem w najbardziej fundamentalnym i głębokim sensie tej metafory. To w większym stopniu kwestia psychologiczna i duchowa niż socjologiczna czy polityczna. Rozważmy bohaterów kreowanych przez drugorzędnych powieściopisarzy: są to z reguły postaci zerojedynkowe, które łatwo w zdecydowany sposób uplasować po stronie dobra lub po stronie zła. Dla odmiany, najwybitniejsi przedstawiciele literackiego fachu umiejscawiają ten podział we wnętrzu swoich bohaterów, sprawiając tym samym, że każdy z nich staje się polem odwiecznej bitwy pomiędzy siłami dobra i zła, światłem a ciemnością. O wiele słuszniejsze z psychologicznego punktu widzenia (i znacznie mniej niebezpieczne społecznie) jest zakładać, że to ty sam jesteś wrogiem – że to twoje własne słabości i niedostatki wyrządzają szkodę światu – niż przypisywać status świętości sobie oraz twoim pogładowym sprzymierzeńcom, a potem uderzać we wrogów, których przez szkła ideologicznych okularów widać wszędzie wokół.

W rzeczywistości walka z patriarchatem, wyzwolenie spod ucisku, promocja równości, zreformowanie kapitalizmu, ochrona środowiska, wyeliminowanie konkurencji, ograniczenie władzy państwa czy zarządzanie wszystkimi organizacjami tak efektywnie, jak zarządza się firmami, nie jest po prostu możliwe. To zwyczajnie zbyt uogólnione koncepcje. Przytoczę tutaj pewien przykład. Komediodowa grupa Latający Cyrk Monty Pythona pewnego razu zaproponowała satyryczną lekcję gry na flecie: należy dmuchać w jeden z końców instrumentu, jednocześnie przesuwając palcami po jego otworach¹². To prawda. Ale całkowicie bezużyteczna.

¹¹ Ewangelia wg św. Łukasza 6:41 [przyp. tłum.].

¹² *Monty Python's Flying Circus*, sezon 3, odcinek 2, „How to Play the Flute”, data emisji: 26 października 1972, BBC.

Takiej instrukcji brak niezbędnych szczegółów. Dlatego też nie można dokonać całościowej, jednolitej przemiany skomplikowanych i złożonych procesów bądź systemów na wielką skalę, ponieważ nie są one dla nas wystarczająco namacalne. Przekonanie, że jest inaczej, to produkt dwudziestowiecznych kultów. Poglądy wyznawane przez ich przedstawicieli są równocześnie naiwne i narcystyczne, zaś aktywizm, do którego zachęcają, to proponowany sfrustrowanym i leniwym jednostkom substytut prawdziwych osiągnięć. Pojedyncze aksjomaty, którym hołdują osoby opętane ideologią, mają status bogów, czczonych ślepo przez ich ewangelizatorów.

Tymczasem tak jak Bóg, ideologia umarła. Krwawe ekscesy XX wieku zadały jej śmierć. Powinniśmy uwolnić się spod jej wpływu i zacząć zajmować się mniejszymi, bardziej precyzyjnie zdefiniowanymi problemami, pojmując je w skali umożliwiającej ich rozwiązywanie – nie obwiniając innych, lecz konfrontując się z tymi zagadnieniami na poziomie indywidualnym, godząc się przy tym z faktem, że będziemy musieli wziąć na siebie odpowiedzialność za konsekwencje własnych działań.

Zachowaj pewną dozę pokory. Posprzątaj swój pokój. Zadbaj o własną rodzinę. Słuchaj swojego sumienia. Wyprowadź swoje życie na prostą. Znajdź sobie jakieś interesujące i pożyteczne zajęcie, a następnie poświęć się mu. A gdy już zdołasz osiągnąć to wszystko, obierz sobie za cel jakiś większy problem i spróbuj go rozwiązać – jeśli wystarczy ci odwagi. Jeżeli poradzisz sobie i z tym, podejmuj się jeszcze ambitniejszych projektów. A jako absolutnie niezbędny wstęp do tego procesu... porzuć ideologię.